NASZ WIDNOKRĄG

PISMO MŁODZIEŻY LICEUM KRZEMIENIECKIEGO

Zeszyt 3 Styczeń 1936 Rok X

ALEM GO „ZAGIĄŁ“...!

Nieraz w „budzie“ rozmawia się o Naszym Widnokręgu. Niezbyt często, ale... nieraz. Niebardzo to interesujący temat, ale gdy np. ukaże się nowy numer, to trochę trzeba „pozjeżdżać“ redakcję i piszących. Więc tak się trochę rozmawia o naszem piśmie, tak trochę, w między czasie, i po to, aby wyładować swój młodzieńczy pęd do krytykowania, i aby się pospierać, by kogoś „zagiąć“ — to już taki sport. Na inne tematy też się nieraz spieramy— „Widnokrąg“ jest nawet jednym z tych podlejszych, gorszego gatunku tematów do „zaginania“. Bo mało jest tych, którzy są zwolennikami N. W. i łatwo jest ich pokonać, bo przeciwnicy posiadają większą siłę liczebną i tak łatwo im chóralnie się śmiać, gdy najbardziej wygadany „zagnie“ solidnie zdenerwowanego, chcącego coś wytłumaczyć „widnokręgowca“.

Ale... ale...— przypomniała mi się jedna rozmowa z takim typowym „zaginaczem“. Powiada on, że „Widnokrąg“ to... tamto..., że pismo wybranych, redakcja tylko pisuje, arystokracja duchowa (jak on to bestja ładnie powiedział) itp. A ja się pytam: a widziałeś kolego numer wypełniony cały przez Białokrynicę, albo drugi przez V-y kurs—tj. przez ludzi nie będących w redakcji, a pytam się dalej— czy kolego policzyłeś, ile w którym numerze jest artykułów pisanych przez członków redakcji, a ile innych, a czy bracie napisałeś choć jeden artykuł, czy choć probowałeś napisać? A ten mój kolega zrobił niewyrąźną minę i mówi,—że niby jakie numery?— a potem—że zdaje się, że może... niby... no, że niby z pewnością czytał, ale że sobie nie przypomina. A zresztą, gdyby nawet nie czytał, to on wie, co i jak. A czy pisał? Pisałby, gdyby chciał, ale poco ma się wysilać pisać do takiego „durnego“ pisma! I... „wierzgnął“ na koniec, niby taki pewny siebie i... zręcznie się odwrócił i poszedł. A dziś zawraca na korytarzu, gdy idę — że niby coś sobie przypomniał i musi wrócić.

NASZ WIDNOKRĄG

PISMO MŁODZIEŻY LICEUM KRZEMIENIECKIEGO

Zeszyt 3 Grudzień 1936 Rok XI

CEL WYJAZDÓW NA 11 LISTOPADA.

Od wieków aż po dzień dzisiejszy, sprawa chłopa polskiego jest aktualną, a rozwiązanie jej nie jest łatwe. Dowodem tego jest że przez lat tyle, przechodząc przez umysły różnych rządów nie została pokoleniom przekazana, jako rzecz załatwiona.

I nawet dzisiaj nie można tego, za jednym posunięciem rozwiązać, chociaż mamy więcej doświadczenia.

Doświadczenie!...

Już je zdobyliśmy—nauką były błędy ojców naszych.

* * *

Od setek lat w chłopie widziano nie człowieka, nie obywatela ale muła roboczego, którego marzeniem, troską — celem musiało być tylko i wyłącznie dobro jego... pana. O to dbać musiał—zaniedbanie groziło nawet śmiercią!

Więc nie dziwmy się, że gdy powstania wybuchły, chłop w szeregi garstki „szaleńców" nie szedł! Bo przecież walczono o Polskę, a odzyskanie Jej przywracało pańszczyznę. A któryż z chłopów chciał do niej wracać?

Dla niego dobrodziejem był nie rząd polski, nie szlachcic, ale car—batiuszka, bo „chciał" uwolnić chłopa od pańszczyzny, w którą zakuł go szlachcic.

Chłop ulegał, pracował, ale gdzieś na dnie serca jego gromadził się żal, ból bezmierny, gorycz i wreszcie, głęboko zakorzeniona. tajona nienawiść.

Niechęć rosła!

Paliła mózgi chłopom i... przepaliła.

Rzezie: humańska, galicyjska, ze znienawidzonej szlachty, wytoczyły morze krwi. którą wchłonęła ziemia—ta, która ich na swej skorupie nosiła.

* * *

I lata—wieki całe mijały, a los chłopa zmianie nie ulegał.

Tak ze względu na „fason“ to wygląda, że on mnie zwyciężył, bo on powiedział ostatnie słowo i już słyszę, jak kolegom opowiada „alem zagiął, powiadam ci bracie!“ Ale tak naprawdę to... zdaje mi się... Nie ja jego— broń Boże – ale on sam się zagiął. Bo poco gadać, jak się dobrze nie wie.

Ale są też tacy, którzy wcale nie poto, żeby się kłócić, żeby dokuczać czy popisać się swoim dowcipem wykazują błędy pisma, ale dlatego, że naprawdę im się coś nie podoba, że uważają, że powinno być inaczej.— i ci się wcale nie boją, nie robią ważnych min,— i ci mieli sposobność oficjalnie powiedzieć co myślą.— I tak odbyło się raz zebranie interesujących się N. W. Przyszło dwadzieścia kilka osób. Patrzę kto jest: cztery osoby z V-go kursu, jedna z 8-ej klasy (nie licząc członków redakcji i administracji), no, a reszta to klasa I A i B, parę osób z drugiej i jeszcze jeden kolega z Białokrynicy.

Zaczęła mówić redaktorka. Mówi, że jest sytuacja taka, że trzeba się zastanowić, czy nie przestać drukować pisma, bo nakład ostatniego numeru liczył 250 egzemplarzy, z czego tylko 100 jest rozsprzedanych. W zeszłym roku nakład wynosił też 250, a jednak ostatniego numeru nawet zabrakło. Pozatem młodzież nie pisuje, niema co drukować, wydanie numeru się spóźnia. Młodzież nie płaci za prenumeratę, drukarnia nie chce numeru składać, bo jej jeszcze nie zapłacono, albo wydrukowanego numeru nie chce wydać póki nie dostanie pieniędzy. I słusznie! A młodzież znowu niezadowolona, że niema na czas numeru. Żartuje, że raz na pół roku wychodzi. A co redakcja ma robić? Administrator się ugania, prosi o pieniądze, posyła listy do tych, którzy wyjechali, a młodzież się nie przejmuje tylko krytykuje wszystko, a sama nic nie robi. Potem mówi redaktorka, że może i redakcja jest winna, może nie rozumie potrzeb młodzieży, a więc prosi, aby koledzy powiedzieli, poradzili co robić. Aby pomogli znaleźć, co jest powodem, że młodzież nie czytuje pisma (na blisko 400 młodzieży Gimn., Sem. i Pedag., tylko dwadzieścia kilka osób prenumeruje N. W.), i dlaczego nie pisuje. My, zebrani chcieliśmy coś poradzić, sami mieliśmy wiele zarzutów, więc zaczęliśmy mówić, że po pierwsze za drogi numer, nie wszyscy mogą kupować, po drugie za wysoki poziom, za poważne artykuły, a młodzież licealna to 50% klasy młodsze. Jeden kolega mówi, aby stworzyć kącik humoru, drugi, aby rysować

* *
*

Wybuchła wojna światowa...

Naczelnik Piłsudski, tworząc swe legiony, swym głębokim umysłem zrozumiał, że potęga państwa spoczywa właśnie na tym sponiewieranym, usuniętym od wszelkich spraw—chłopie. Poszedł śladami poprzednika swego—Kościuszki i porwał w swe szeregi.. chłopa! A on walczył, bo wiedział, że walczy o swoją własną wolność i wolność tej ziemi, którą od wieków całych dla pana uprawiał, a która jego własnością stać się miała.

* *
*

Ojcowie nasi wywalczyli Polskę. Powstała Ona, „wypracowana" milionami ofiar, a nam wypada obowiązek zachowania jej nie tylko w niepodległości, ale i w potędze! Przy tym nie możemy zapominać o tych, którzy od lat byli „zapomniani"—o chłopach.

Przez wyjazdy listopadowe utwierdzamy ich w wierze, że i oni są takimi samymi ludźmi jak i my, że i im przysługują takie same prawa jak i nam i, że oni są pełnymi obywatelami jednej ojczyzny—Polski.

Wyjeżdżając do nich, dajemy dowód, że o nich pamiętamy, że staramy się zbliżyć do nich—dajemy dowód, że oni też, jak każdy inny, są naszymi braćmi i, że wszyscy należymy do jednej organizacji, mamy jedną matkę—Polskę.

Zdanowicz Roland

CZAS SPOJRZEĆ PRAWDZIE W OCZY!

artykuł polemiczny w związku z artykułem kol. J. D. p. t. „Co to będzie".

Kolega J. D. z II kursu Pedagogium poruszył w swym artykule "Co to będzie" (Nr. 2 N. W.) bardzo ważną sprawę,—sprawę przygotowania przez szkołę młodzieży do życia. Artykuł ten pobudza do poważniejszego zastanowienia się nad tym zagadnieniem.

Życie nasze wg. kolegi J. D. jest ściśle wtłoczone w sztywne ramki przepisów, regulaminów i t. p., i to jest wg. niego największą biedą. Z rozumowaniem takim nie mogę się zgodzić. Racją jest, że szkoła dzisiejsza nie przewiduje wcale i można powiedzieć, że do pewnego stopnia nawet uniemożliwia, przez swoje programy i t. p. poznanie życia. Ale konflikt nie tkwi w tym, że programy krępują nas za mocno (co można z artykułu

karykatury i inne wesołe obrazki, wreszcie, by na zbiórce poinformować młodzież o trudnej sytuacji Widnokręgu, ale nie przestawać druku, broń Boże— przecież to dziesiąty rok istnienia N. W., byłoby nieładnie, że właśnie w takim roku przerwana została praca.— tyle lat przetrwał, a teraz nie może. Radzono, aby okładki nie było—to taniej wyjdzie,— by papier był gorszy, radzono reklamować pismo na różne sposoby, afisze wieszać, zrobić wesołą rewję itp.— Redaktorka notowała.— No, zobaczymy,— myśmy powiedzieli, cośmy myśleli, i poradziliśmy. Szkoda tylko, że nie było więcej młodzieży z klas starszych, to oni teżby powiedzieli, co myślą, a tak po kątach tylko mówią, a gdyby chcieli to mogliby powiedzieć co i jak myślą, a jako starsi, i że jest ich dużo — (trzy klasy gimn., dwa kursy pedag.) to mieliby powagę i liczyłaby się redakcja z ich zdaniem, a tak to nie wie czego chcą, i tak będzie w kółko — oni niezadowoleni z pisma więc nie pisują do niego, a że pisują inni a nie oni, więc się im pismo nie podoba.

I tak od „zaginania" i sztubactwa zaczął się ten artykuł, a skończył się poważnie.— bo nasze życie ta tak razem i sztubackie i poważne,— w sztubactwie jest nieraz powaga a w powadze—sztubactwo.

Interesujący się „Naszym Widnokręgiem".

MY, PIERWSZA BRYGADA.

Obrazek sceniczny, ułożony i odegrany w dniu 11 listopada przez kl VII.

(Słychać chóralny śpiew żołnierski. Kurtyna się rozsuwa: obozowisko, w głębi namiot. Nieco zboku, objęci ramieniem—śpiewak i grajek obozowy z mandoliną).

Bo my strzelcy—to jak psy,
Bezdomni my włóczędzy,
Gnębi nas Moskal, jedzą wszy,
Za Austrji skrawek nędzy.

(Nastrój ogólnego przygnębienia)

Drużynowy (podchodzi) A to co? Cóż to za żebracka nuta? Czegoście się tak rozkwilili? (Z pośród grupki żołnierzy słychać głos:—Rozkwilili!...)

Żołnierz 1. At, dałbyś spokój! Nibyś to sam strasznie wesół!

2 Ot, jaką nam dali wspaniałą broń! Strzelaj z takiego grata!

tego wywnioskować), lecz w tym, że poprostu są mało życiowe i poza usilnym staraniem rabicia nam głowy rozmaitymi więcej i mniej potrzebnymi wiadomościami, nie dają nam nic.

Nawet nie zwalniając ich rysów można je poprawić lub zmienić, dostosowując bardziej do rzeczywistości.

Szkoła średnia powinna mieć za zadanie, poza daniem uczniowi niezbędnych suchych wiadomości,—wykształcenie w nim inteligencji, podniesienie na pewien (nie za niski) poziom intelektualny i kulturalny, oraz wyrobienie zdrowego światopoglądu.

Czy szkoła wykształca w nas te wartości? Po trzykroć nie! Szkoła nie czyni nic, aby wykształcić w nas światopogląd, i żeby rozwinąć w nas umiejętność orjentowania się przynajmniej w najważniejszych prądach życiowych. Człowiek ukończywszy gimnazjum jest porywany w wir zagadnień politycznych i społecznych, o których dotychczas nie miał zielonego pojęcia. Nie umieją wyciągnąć z masy frazesów, którymi go zewsząd zasypują, istotnej treści, staje się łatwym łupem dla żerujących agitatorów którzy łapią go na swe pokazowe demagogiczne hasła i przekształcają na fanatyka swego programu, człowieka, któremu ten program przysłania horyzont i załamuje pod swym kątem wielkie zagadnienia. Taki człowiek już nic pozytywnego dać państwu i narodowi nie może,—ale nietylko to;—taki człowiek staje się wręcz narzędziem w ręku ludzi interesu czy karjery, ludzi, dla których dobro własnej partii (a więc i swoje własne) jest naczelnym hasłem, więcej im leżącym na sercu, niż dane państwo,—taki więc człowiek jest siewcą niezgody społecznej i elementem ze wszech miar destrukcyjnym.

Corocznie setki młodzieży po skończeniu gimnazjum są łapane na pięknie brzmiące hasła „narodowe“ i wciągane do skandalicznych ekscesów, jakie mają periodycznie miejsce na uniwersytetach.

Czyż możemy potępiając te wybryki, godzące w świątynie polskiej nauki, winić młodzież biorącą w nich udział? Nie! młodzież ta jest niewinna. Winna jest szkoła, bo nie przygotowała jej należycie do życia! Ci młodzi fanatycy są święcie przekonani, że czynią bardzo dobrze, obijając żydów, demolując uniwersytety—że tym przyczynią się walnie do wzrostu potęgi narodu! Człowieka, który w najlepszej wierze wstąpi nieświadomie na najgorszą drogę nie można winić, Winić natomiast należy tego, kto nie spełnił swego obowiązku i nie wskazał właściwej drogi.

3. Czy też się kiedy skończy to nasze dziadostwo?

4 Pasuje nam rzeczywiście tylko kij i torba.

1. Psie życie i tyle! Podłe szwaby zapychają nami każdą dziurę.

5. O tak, Legjony—to straceńców los!

Drużynowy. Chłopcy co to jest? Co się z wami dzieje? Skąd taki podły nastrój? I to mają być Legjony? A gdzież się podziała nasza żołnierska buta?

Żoł. 1. Masz rację, bracie! Do licha z nastrojami.

3. Gwiżdżemy na wszystkie c. k. ekscelencje. Wcześniej czy później i tak je szlag trafi.

2. Cholera wydusi.

4. A Lucyper będzie miał pociechę.

Drużynowy. A zresztą, czy to my im służymy? Dla nich przelewamy krew i znosimy nędzę?

Żoł. 1. Właśnie. Dla nich rzucamy dom i rodzinę?

Drużynowy. A przecież chyba nikt z was nie żałuje tego, co zrobił?...

Żoł. 1. Wiadomo.

3. Żałowałby kto? Dla takiej sprawy?

4. (wskazuje na starszego kolegę) Dla takiej sprawy przecież ten zostawił bez kawałka chleba żonę i dziecko.

2. A ty niby nie zostawiłeś chorej matki?

1. A nasz drużynowy—narzeczonej.

3. A nasz cherubinek, co mu u papy brakowało, chyba tylko ptasiego mleka, musi tu żreć razowiec, choć ma delikatne podniebienie.

4. Rzuciliśmy wszystko w ofierze.

1. Na stos.

5. Legjony—to ofiarny stos!

2. My, pierwsza Brygada!

„Śpiewak“. (nuci przy akompanjamencie) My, pierwsza brygada, strzelecka gromada na stos rzuciliśmy swój życia los! (w pobliżu powstaje zgiełk. Przeprowadzają rannego jeńca. Zgromadzeni przy ognisku zatrzymują jednego z prowadzących)

Żoł. 1. Co takiego?

2. Co się stało?

3. Kto to jest?

4. Co za ranny?

Przybyły 6. (wzburzony) Przyjaciel mój... Kolega szkolny...

1. Jakto? Moskal?

Zgadzam się w 100% z kolegą J. D. który mówi:

„A tam gdzieś, poza murami szkoły wre to prawdziwe życie, do którego musisz wpaść jak w ukrop, chcesz czy nie chcesz, to obojętne, tam są tak groźne a niepojęte potwory, jak komunizmy, fronty ludowe, „kolorowe koszule", zbrojenia, wojny, rewolucje, pakty, kontrakty, memoriały, zjazdy... To wszystko kotłuje się, przewala, toczy się beznadziejnie niewiadomo dokąd — a my w pewnym czasie automatycznie w to wpadamy. Minimalny odsetek spośród nas jest przygotowany do utrzymania równowagi w tym kotłowisku—a mamy nietylko prawo, ale i obowiązek nietylko utrzymać równowagę, ale i wpływać na bieg tych rozlicznych i skomplikowanych spraw".

Nic dziwnego, że to „wpływanie" na życie ogranicza się do niepoczytalnych wybryków. Ale w skandalach akademickich są i dodatnie objawy. Naprzykład to, że wielu szybko przekonuje się do „zbawiania ojczyzny" w ten sposób, i przejrzawszy właściwe cele organizatorów nie daje się więcej do „akcji" wciągnąć. Faktem jest, że w skandalach bierze udział przeważnie młodzież z pierwszego roku, nie mówiąc naturalnie o przenajrozmaitszych mętach ulicznych, którzy jako główna część składowa bojówek są wsprowadzani na sale wykładowe. Starszą i mądrzejszą młodziez nie stać jednak na energiczne przeciwstawienie się awanturnikom. Uniwersytety są często zamknięte Ludzie, którzy chcą się uczyć, choć często muszą sobie na ten luksus odejmować od ust, są narażeni na nie tylko moralne, ale i materialne straty.

To rezultaty błędów w wychowaniu.

Nie pomagają teraz już odezwy dyrektorów szkół średnich którzy piętnują akcję swych byłych wychowanków. Nie pomagają odezwy rektorów, nie pomaga udawanie się po pomoc do... biskupów. Rozwydrzoną młodzież trzeba uspokajać policją i zimną wodą z hydrantów strażackich.

Zagadnienie żydowskie jest bardzo wielkiej wagi, lecz nieda się rozstrzygnąć pałką, nożem, i kastetem.

Doszliśmy do wniosku że szkoła nie wprowadza nas w życie. Mało tego, szkoła stara się, ażeby nas od tego życia jaknajbardziej odseparować. Pomija milczeniem pewne zagadnienia, przeciwdziałając „szkodliwemu rozpolitykowaniu" młodzieży.

O szkoło! Nie należy chować ze strusią tchórzliwością głowy w piasek, bo młodzieży tym od „szkodliwej polityki" się nie odseparuje. Odseparuje się ją natomiast od polityki nieszkodliwej. Młodzież i tak stara się politykować, a jeżeli czyni to nieu-

6. Nie... swój... Polak... Wzięty z mobilizacji... Raniłem go... Strzaskałem mu kulą ramię... Okaleczyłem... na całe życie... Najdroższego przyjaciela... brata... (milczenie)

5. O ileż mąk, ileż cierpienia!

Drużynowy. O ileż krwi, przelanych łez!

Żoł. 1 Brat przeciwko bratu!

2. I ten nieborak cierpi za wrażą sprawę!

(W głębi przechodzi gromadka żołnierzy, nucą wesoło. Śpiew:)

...Z trudu naszego i znoju
Polska powstanie by żyć!.. (przechodzą)

Drużynowy (podnosząc głowę) Pomimo to — niema zwątpienia!

Żoł. 5. Dodaje sił wędrówki kres!

„Śpiewak" (nuci) My, pierwsza Brygada, strzelecka gromada, na stos rzuciliśmy swój życia los, na stos, na stos!

Żoł 1. Najgorsze to, że nas tak mało.

2. Śmieszna garstka!

3. Liczyliśmy przecież na werbunek.

4. Że jak tylko przekroczymy kordon, że jak o nas usłyszą, jak zobaczą nasze orzełki na czapkach, to zaraz się zgruchną nowi!

2. A tymczasem co!

Drużynowy. Więc wam, chłopcy, powiem prawdę. Wróciłem tylko co z miasta, z biura werbunkowego. Liczyliśmy, że w takiem dużem mieście choć z 50 chłopa się zaciągnie. Tymczasem — wiecie ilu?

Żoł. 1. Ilu?

2. No, no?

Drużynowy. Wstyd powiedzieć — siedmiu.

Żoł. 3. Co, tutaj siedmiu?

4. A tak nas czule witali!

Drużynowy. Młodzieży chętnej nie brak, ale starsze społeczeństwo nas zwalcza. Uważają nas za szaleńców.

Żoł. 2. Czekają na powrót taty.

3. Że wróci car-batiuszka.

(Za sceną głos: Kto idzie? Żołnierze przyprowadzają dwoje starszych państwa)

Drużynowy. Czego sobie państwo życzą?

Pani. Proszę panów...

Pan. Szanowni obywatele!

dolnie, i jeżeli ma to na nią ujemny wpływ, to zawdzięczamy to własnie temu, że wiadomości czerpie ze „szkodliwych” niewłaściwych źródeł. Młodzi ludzie są istotami ciekawymi i jeżeli szkoła im czego nie dopowie, to stara się sam n na własną ręką dowiedzieć.

Temu wszystkiemu zawdzięczamy, że już niejednokrotnie w szkole zaczynają działać agitatorzy, którzy jako „apostołowie prawdy“ zawczasu wypaczają swym „wybrańcom“ światopogląd,

Na tym kończę moje wywody. Zanadto się chyba rozpisałem ale może to i dobrze choć raz powiedzieć sobie prawdę w oczy.

Jestem pewien, że z moim poglądem zgadza się wielu spośród młodzieży. Wyrazem tego,—choćby ostatnia dyskusja na zebraniu sekcji dysksyjnej koła żywego słowa.

Można dyskutować nad sposobem wyjścia z dzisiejszej sytuacji. Można znaleźć niejedno rozwiązanie.

Ja ze swej strony proponuję, oprócz poruszania aktualnych zagadnień na dyskusjach koła żywego słowa, szeroko zakrojoną akcję odczytową i dyskusyjną, zorganizowanie, czytelni w której znalazłyby się wszystkie gazety (nietylko „Gazeta Polska“ i „Naród i Państwo“).

Nie zaszkodziłoby też gdyby zagadnienia aktualne były omawiane na łamach N.W. Wywołałoby to napewno niejedną ciekawą dyskusję.

Na wprowadzenie lekcyj polityki, jako przedmiotu nauczania wiem, że nie mogę liczyć, bo zadużo jest regulaminów, prze pisów, okólników, programów i t. p. by dało się coś podobnego zrealizować.

Gdy da się młodzieży możność zajrzenia z różnych stron w każde zagadnienie, to o rezultat, (to znaczy pogląd na rzecz) można się nie troszczyć. Będzie on napewno właściwy. Trzeba tylko umożliwić jej poznanie wszystkich kierunków i prądów politycznych.

Czas tylko skończyć z tą dającą się zadziwić chęcią wmówienia, że wszystko jest w najlepszym porządku i że wszyscy ludzie są zadowoleni.

Czas spojrzeć prawdzie w oczy!

Włodzimierz Antoni Sheibal kl. VII

Pani Przychodzimy tutaj w imieniu...
Pan. Z ramienia naszego Komitetu..
Pani. Komitetu Pomocy rodakom...
Pan. Przychodzimy z propozycją, z zaproszeniem.
Pani. Rozumiejąc położenie panów...
Pan. Obywateli rodaków...
Pani. Którzy poświęcają swe życie...
Pan. Aczkolwiek z góry wiadomo—dla sprawy przegranej, beznadziejnej, a może nawet w skutkach szkodliwej dla ogółu.
Pani. Jednakże oceniając należycie ofiarność, dobre chęci..
Pan. Chcemy przyjść z pomocą, oczywiście materjalną...
Pani. To jest—moralną...
Pan. No tak, poparcie moralne...
Drużynowy. Czem państwu możemy służyć?
Pani. Nasze panie z towarzystwa... spragnione..
Żoł. 4. (półgłosem) towarzystwa...
Pani. Pragnąc przyjść z pomocą panom...
Pan. Obywatelom rodakom...
Pani. Zamierzają urządzić zabawę dochodową, maskaradę, pod protektoratem tu obecnego pana mecenasa.
Pan. I tu przytomnej pani radczyni.
Pani. Całkowity dochód przeznaczamy na słodycze dla naszych kochanych wojaków...
Pan. Którym tutaj pewno wszystkiego brak.
Pani. Wobec tego przychodzimy zaprosić...
Żoł. 1. Słyszysz!!
2. To niemożliwe!
3. To nie do zniesienia!
4. Kpiny!
Drużynowy. Chłopcy! Milczeć! (Do gości) Oceniając wzniosłe pobudki, które zaprowadziły państwo aż tu, do naszej nędzy, z tak zaszczytną dla nas propozycją, w celu osłodzenia naszego tułaczego żywota..
Żoł. 1. (wybucha) Nie chcemy już do was uznania!
2. Ni waszych słów, ni waszych łez!
Pani. Ależ, proszę panów!
Pan. Obywatele!
Pani. My do was z całem sercem, z wylaniem!
Pan. Choć możemy w przyszłości gorzko za to odpokutować.

MY, RAMKI A KONFLIKTY.

W poprzednim numerze „N.W.“, który powoli zaczyna odgrywać rolę pismą sztandarowego, kolega J. D. odsłonił niektóre grzebiące nas bolączki. Jest to jego wielką zasługą. Uczynił bowiem furtkę w ciągle się zacieśniającym pasie izolacyjnym, który „zabezpiecza“ młodzież przed znajomością tego żywiołu, jakim jest życie. Dziełem całej myślącej młodzieży powinno być jak największe jej rozszerzenie i uczynienie z niej naszej bazy wypadowej na utarte konwenanse i przestarzałe metody wychowawcze. Są to bowiem czynniki, które stanowią siły, wtłaczające nasze życie w żelazne ramki, które czynią z nas cieplarniane kwiaty, niezdolne do życia poza cieplarnią. Jedną, ale całkiem nie najważniejszą częścią rusztowania okalających nas ramek, jest bezwarunkowo ten przeklęty czas, który od zarania naszej młodości kreśli granice naszej inicjatywy. Z tym jednak, chcąc nie chcąc, musimy się pogodzić. Czas jest, o ile mi wiadomo, jedynym czynnikiem regulującym życie. Wyłączenie tego czynnika — oznacza anarchię. Ja zaś nie jestem dotychczas posiadaczem legitymacji członkowskiej F.A.I.*) to też nie poprę takiego wniosku. Czas można uważać najwyżej za sprawdzian naszego trybu życia, a jako taki nie może być źródłem owych konfliktów, o których wspomniał kolega J. D. Za ich przyczyn uważam system wychowawczy, z jakim spotykamy się od dzieciństwa.

Już w szkołach powszechnych zostają nam narzucone przepisy i regulaminy. W razie trudności w przystosowaniu się do nich spotykamy się z siłą, która skłania nas do poszanowania „prawa“. Nasza wolność zostaje ujarzmiona. Stajemy się żywą płytą gramofonową, na której się nagrywa naszą strukturą duchową: jak mamy myśleć, a jak postępować. Uważają nas za bezkształtną masę gliny, z której można lepić posłuszne marionetki, pozbawionej wszelkiej zdolności do krytyki, zdolne jedynie do podporządkowania się istniejącym formom życiowym, a nie do tworzenia nowych—lepszych. Zapomina się zupełnie o tym, że człowiek tym się różni od istot niższych, że przynosi razem ze sobą na świat potencjalną energię rozwojową, zarówno fizyczną jak i umysłową, która niestety nie działa według żadnego widzi mi się, lecz według pewnych określonych praw natury. Myśląc logicznie, zdawałaby się, że wychowanie młodzieży powinno ułatwić jej rozwój naturalny, a nie stawać wpoprzek naturze. Celem

*) Federation Anarchistes Iberique.

Pani. Całkowity dochód na legjony!

Żoł. 1. Przeminął już czas kołatania do waszych dusz, do waszych kies!...

Drużynowy. Chłopcy—spokój!

Pan. A więc, skoro tak, to wam powiemy, co o was myślimy, co o was myśli całe społeczeństwo nasze. Jesteście szaleni, porywacie się na największą potęgę Europy nie bacząc na skutki, na to, że narażacie przyszłość narodu, któremu zaczyna się uśmiechać lepszy los Z woli dobrotliwego, liberalnegn monarchy.

Drużynowy. Dziękujemy za nauki, z których, niestety nie skorzystamy. Żegnam! (odwraca się)

Pan. (odchodząc) Szaleni... szaleni...

Pani. Stumanieni!...

„Śpiewak" My pierwsza brygada, strzelecka gromada, na stos rzuciliśmy swój życia los! Na stos, na stos!...

Żoł. 1. I to jest nasze społeczeństwo...

2. Filary społeczeństwa!

5. Krzyczeli, żeśmy stumanieni, nie wierząc nam, że chcieć—to móc!

3. A przecież dowiedliśmy już tego pod Konarami

4. A pod Łowczówkiem to nie?

2. A pod Kostiuchnówką?

6 Pod Laskami?

1. Przecież nas wtedy było jeszcze mniej.

5. Laliśmy krew osamotnieni...

4. Wszędzie zawsze to samo.

Drużynowy A jeżeli my się tak czujemy osamotnieni niezrozumiani, i to pomyślcie, chłopcy — co dopiero On — Wódz?

Żoł 1 Który jest przecież odpowiedzialny nietylko za nas, za nasze życie, ale i za skutki naszych czynów?

2. Za całą przyszłość.

3. Za istnienie Polski...

4. Miał odwagę przeciwstawić się wszystkim takim oto narodowym politykom.

Drużynowy. Trudno, Wierzę mocno, że w końcu owo społeczeństwo przekona się, że On właśnie ma rację, że Jego instynkt wiedzie nas nieomylną drogą.

wychowania powinno być ciągłe dodawanie paliwa, owemu wysoko wartościowemu motorowi, jakim jest dusza ludzka. Powinno się go dodawać jak najwięcej i jak najlepszego gatunku. Trzeba kłaść szyny, a nie rzucać kłody pod nogi. Takie próby „rzutów" stwarzają właśnie konflikty zasadnicze między młodzieżą a starszym społeczeństwem, kończące się zazwyczaj tragicznie dla młodzieży, a z wielką krzywdą dla ludzkości, gdyż bujny wzlot młodzieży w górę, ku ideałom lepszego życia zostaje unicestwiony. Ramki—obcinają skrzydła. Zamiast wznosić ku górze, wskazują nam za cel równanie w dół.

Do pierwszych konfliktów dochodzi na tle zainteresowań problemami seksualnymi i pozostającymi z nimi w ścisłym związku t. zw. zakazanymi książkami. Jest rzeczą naturalną, że w miarę naszego rozwoju nasz widnokrąg myślowy ciągle się rozszerza. Staramy się zgłębić wszystkie tajemnice. Wszystko wiedzieć i zrozumieć. Nie ulega wątpliwości, że tak zrozumiana ciekawość jest czynnikiem dodatnim i wartościowym. Ciekawość w tym wypadku odgrywa rolę bodźca w naszym rozwoju i przez jej zaspokojenie pogłębiamy i komplikujemy nasze bruzdy mózgowe. Jest rzeczą naturalną, że w sferze naszych zainteresowań znajdują się również kwestie seksualne. Ale nie wiadomo dlaczego dąży się uporczywie do ich przemilczenia, chce się gwałtem odwrócić od nich naszą uwagę. Tak postępują przydzielone do każdego z nas czynniki wychowawcze, począwszy od starszego o parę lat brata, czy siostry, a skończywszy na gronie nauczycielskim.

Przypatrzmy się teraz, jakie rezultaty wydaje taka „polityka" przemilczania. Po pierwsze, taka próba izolacyjna mimowoli podkreśla właśnie te zakazane problemy, przez co właśnie je, a nie inne wysuwa, jako temat roztrząsań w dyskretnych kółkach kolegów i koleżanek. W ten sposób swykłe zagadnienie życiowe zostaje podniesione do rzędu „świętych tajemnic", dla których zgłębienia traci się całkiem nieprodukcyjnie i nie potrzebnie istniejącą w nas energię która mogłaby być użyta z powodzeniem na inne cele. Ponadto, właśnie takie zakulisowe postawienie sprawy prowadzi w prostej linii do wypaczenia pojęć, które się stają potem źródłem niejednych nieszczęść i tragedii, wynikających wyłącznie z nieuświadomienia w tych sprawach.

(Z takimi objawami wypaczenia stykaliśmy się i u nas w szkole. Przez pewien czas dużo się narzekało i oburzało na ohydne malarstwo ubikacyjne). Uczniów, którzy się tego przestępstwa dopuścili zazwyczaj wydala się ze szkoły, a przecież nie byli oni

Żoł. 6. A my tymczasem, nie mogąc liczyć na społeczeństwo, znajdziemy w sobie samych oparcie i siłę.

5. Bo przecież z nami jest nasz drogi WÓDZ!

(W oknie namiotu w głębi błyska światło, na jego tle widać schyloną nad mapą sylwetkę Wodza).

Drużynowy. Baczność!..

(Żołnierze zrywają się; chwilę salutują, poczem w zachwycie podchwytują za «śpiewakiem»: — My, pierwsza Brygada, strzelecka gromada, na stos rzuciliśmy swój życia los, na stos, na stos..)

Rzecz ta była opracowana przez zespół kl. VII i wystawiona dn. 11 listopada we wsi Starej Hucie.

Redakcja ocenia walory literackie tej pracy, lecz jest zdania, iż opinja o społeczeństwie polskiem tamtych czasów wypadła tutaj zbyt ujemnie. RED

O ST. ŻEROMSKIM.

1.

Świat jest bliski, jak sady rozkwitłe na wiosnę.
Tęsknota w wizjach rośnie dzwoniącym peanem,
— mocną jest rzeczywistość! — szaloną rozkoszą
Żywiołowo potężne państwo Arymana.

Czarną nocą jesienną w wietrze wyją Smutki.
Żale duszy, — jak drzewo rozszczepione — bolą
Ludzie bezdomni: — noce w katusze brzemienne.
— tęczowa gama rojeń jakiejś innej doli.

2.

Była puszcza jodłowa, rosnąca pod niebo,
Żywicą rozpachniałe wielodrzew gałęzie.
W splotach pnączy ukryty, wśród tajni, Świst-poświst
Oddychał wszechmogący śpiewną wiatru gędźbą.

Były powieści-szumy o walkach i trudzie,
Wspomnienia gdzie spoczywał na górze Bodzanta.
Była wiecznym ołtarzem na ziemi wyrosłym
Puszcza niczyja tylko boża, święta.

Br. Liżewski kurs V.

bynajmniej dziedzicznie obarczonymi, podobnymi skłonnościami. Zawiniły tutaj tylko te czynniki w wychowaniu, które nie pozwoliły wychowawcom na kontrolę psychiki ucznia i przez naukową interpretację zjawisk wyczerpać ten teren bezpłodnych poszukiwań. Mam wrażenie, że ta niestosowana w danym wypadku interpretacja wydałaby o wiele cenniejsze rezultaty, aniżeli wydalanie ze szkoły biednych ofiar.

Drugim „dorobkiem" takiej polityki względem młodzieży są tzw. zakazane książki. Nie będę tu mówić na czym ten problem polega. Każdy z nas poczuł to na swojej skórze. Chciałbym tylko zwrócić uwagę na społeczne skutki tej „polityki". Problem zakazanych książek uważam za logiczną konsekwencję poprzednio omawianego zagadnienia. Nic dziwnego, że jedną z dziedzin naszego życia, w której szukamy odpowiedzi na dręczące nas pytania są rzecz zrozumiała—książki. Mam wrażenie, że te mogą być pierwszorzędnym materiałem, mogącym w zupełności zaspokoić wzbudzone przez „ramki" wychowawcze kwestie. Tak jednak nie jest.

Istnieją książki i książki. Il y a fagots et fagots; jak mówią Francuzi. Niestety u nas czuje się wstręt do różniczkowania pojęć. Pod tym względem jesteśmy pełni demokratyzmu. Wszystkie, mające jakikolwiek związek z życiem płciowym są zakazane. Wszystkie są równe wobec „prawa". W ten sposób podkreśla się poraz drugi tajemnicze tabu. Nic dziwnego, że po tylu trudach wychowawców, tylu krzyczących podkreśleniach, wykrzyknikach, pytajnikach, bierzemy się do czytania właśnie takich Zarzyckich, Nasielskich, Marczyńskich, Mniszkówien et. Co. Ta branża pseudo-literacka jest w okresie wiecznej prosperity i zasypuje rynek swoim towarem. Narzucają się poprostu same niedoswiadczonemu czytelnikowi. To też chwyta się je łapczywie. Pożytek z nich żaden. Odpowiedzi na dręczące pytania, nie udzielają wcale. Czytelnik zagłębia się w nie, jak w dżungli. I nie dziw, że często zabłądzi. Oto by go oswobodzić z tej matni wychowawcy bynajmniej nie dbają.

Taki typ książek jest „udemoralizujący" i szlus: Wyrzucić! A o tym, że oprócz tej literatury pornografizującej istnieje inna —naukowa, albo traktująca w sposób ludzki, te zagadnienia, nawet się nie wspomina.

A przecież właśnie ta mogłaby być naturalną ścieżką, któraby pozwoliła nie jednemu wydobyć się z pęt zakłamania i nieświadomości. Dlaczego dostęp do niej jest tak utrudniony? Jaki zakonspirowany cel wychowawczy w tym się kryje? A może

ANDRZEJU RADKU!

Jakie jest oblicze Twoich przekonań społecznych nie pytano Cię o to, bo byłeś chłopem, — gorzej chamem. Twoja dusza nie miała pierwiastków szlacheckich, jeno wrogą jej żelazną wolę wytrwania, — nieocknioną jeszcze, napół śpiącą, napół obudzoną. Jakiś przybłęda „rewolucjonista“ Paluszkiewicz, nauczyciel „paniczów“ ze dwora otworzył Ci oczy na świat. Powiedział Ci, że nauka to niezmierne morze, że im więcej będziesz jej pił tem więcej będziesz jej pragnął. Powiedział Ci w sekrecie przed dworem i przed światem jako rodzącej się wolnej duszy ludzkiej o przemocy człowieka nad człowiekiem. Może zwierzał Ci się w atakach suchotniczego kaszlu o ciężkiej walce o swą niezależność, o walce, która odbiera młodość i siły. Ale ty byłeś silny rozróżnieniem prawdy od kłamstwa. Z tem przyszedłeś na świat — z tym dobrym instynktem. Zabijano to uczucie w Tobie, i żebyś nie podniósł ręki na pana jako chłop, a tacy jak ty byli wszyscy... Podziwiam ten moment, gdy Paluszkiewicz umarł: nie zauważyłem u Ciebie cienia bezradności. Z Pyrzogłowskiej śmieszności i ciasnoty małomiasteczkowej ruszyłeś w świat do Klerykowa — pewny siebie. Poznałeś nowych ludzi. Zetknąłeś się z tępemi głowami Władzia Płoniewicza i jego siostry, im poświęciłeś tyle czasu. Sam, stawiający pierwsze kroki w Klerykowie, pchałeś naprzód te bryły oporu. Ty, który w gimnazjum byłeś wyśmiewany — zatęskniłeś do rodzinnej podprożnej gnojówki, bratem był Ci głóg za oknem. Nie mogę przebaczyć Ci tej słabości. To tylko przyzwyczajenie. Ta tęsknota, przypomnienie pchnęło Cię do tego, czy zmusiło, żeś bił w mordę po chamsku Tomkiewicza, żeś w jednej chwili złamał swe postanowienie, żeś zboczył z obranej drogi. Wtedy Borowicz, satelita inspektora Zabielskiego wyratował Cię.

Wtedy to poznałeś Zigera, tę niezabliźnioną ranę patrjotyzmu. Poznałeś wtedy przemoc narodów nad narodami. Czyś wtedy zamarzył o wolności tej ziemi i twego polnego głogu — towarzysza z Pajęczyn Dolnych, do którego w napadach tęsknoty musiałeś przemawiać po rosyjsku, bo Krestoobriadnikow roztoczył nad wami ścisłą opiekę. Dlaczego wtedy nie zerwał się w Tobie bunt przeciw temu, jak niegdyś palił Cię wstyd za te napół zgniłe jabłka dostawane od dziedziczki za to, żeś przedrzeźniał Paluszkiewicza. Wiem, nie mogłeś, nie miałeś

poprostu „ramki" na to nie pozwalają? Na uwagę zasługuje fakt, że istnienie tej lektury nietylko się przemilcza, ale jeszcze i tym którzyby jej pragnęli—zatrzaskuje się drzwi przed nosem. Nie inaczej, bowiem pojmuje drakoński zakaz korzystania uczniom z wielu bibliotek naukowych.

Możliwie, że się spotkam z argumentem: młodzieży nie warto dawać poważnych książek do czytania, bo i tak ich nie rozumie. Dobrze, przypuśćmy, że się zgadzam. Ale proszę mi powiedzieć szanowny panie x czy y, podtrzymujący podobny argument, czy rozumie pan n. p. taki dwumian Newtona, o ile pan profesor mu go nie wytłumaczy? Czy tę rolę w stosunku do innych zagadnień nie powinien odgrywać również wychowawca? Niekoniecznie profesor. Czy są one mniej ważne niż ta ultra—matematyka? Niedawno podczas jednej z licznych na ten temat dyskusji, spotkałem się z innego rodzaju argumentem, a mianowicie, że na skutek większego zbliżenia się do prawdy, może ona na młodą, a czułą duszę młodzieży wywrzeć skutek ujemny w tym sensie, że pozbawi się ją tej odrobiny radości życia, która jest jej cechą. Nie wiem, co wysuwających ten argument upoważnia do takiego pessymizmu, w odniesieniu do życia, które chyba nie jest aż takie „straszne" i „podłe".

Przecież życie nie składa się z samych ciemnych plam. A jeśli mamy ich tak dużo, to właśnie „dzięki" zalecanym i stosowanym „ramkom" które nas od niego izolują, które nas wiążą i ograniczają w naszym rozwoju. Tworzą dla nas cieplarnie o stałym, pogodnym klimacie.

Czy możemy potem wytrzymywać burze, jakimi ogarnia nas życie? Czy mamy przeciw nim pancerze?

Na to śmiało mogę odpowiedzieć: Nie!

Przeciwnie, nasza skóra jest cienka i delikatna.

Wszak taką wychowano w cieplarniach. Ramki broniły do niej dostępu. Ramki te są tylko tworem sztucznym, bynajmniej nie doskonałym, nie mogącym sprostać naporowi życia, które prędzej czy później przełamuje te papierowe zasłony.

Zetknięcie się z nim może być dla nas, „ramkowców", tragiczne. Nie jesteśmy poprostu zahartowani do długich bojów i zmagań.

To też kto z nas ma aspiracje utrzymać równowagę w tym wrzącym kotle pojęć, idei i życiowych sytuacji, ten musi jaknajwcześniej zacząć poznawać teren swej przyszłej pracy. To możemy jeszcze uskutecznić w obrębie izolujących ramek. Wszak

prawa porzucić swej ścieżki, zboczyć z niej poraz drugi. Ukryłeś swoje myśli z towarzyszami na poddaszu u Gontali. Z nimi mogłeś snuć swoje plany, swoje myśli — w miejscu święconem. Poznałeś piękno rzadkich książek. Przysłuchiwałeś się jałowym dysputom nad Bueklem. Wsłuchałeś się w westchnienie wiejące z wierszyka Romanowskiego (przystani Biruty i Borowicza):

O kiedyż wykujem strudzeni oracze
Lemiesze z pałaszy skrwawionych
O kiedyż już nikt nie zapłacze
Prócz rosy łąk naszych zielonych...

Ty o tem nie myślałeś jeszcze; Ty nie byłeś zmęczony walką i nie pragnąłeś wypoczynku. Ty jeszcze tą swoją silną urobioną prawicą podtrzymałeś Borowicza. Ty nawoływałeś do Czynu:

Młoty w dłoń
Kujmy broń...

Któż Cię zrozumiał,— mocny samotny człowieku? Któż Cię pokochał? Któż wynagrodził Twoją cnotę? Jakie są Twoje dalsze dzieje—nauczycielu bezdomnego Judyma — ty polny samotny głogu?

Axel II kurs leśny.

MY W SMYDZE.

Przeżywany czas wewnętrznego spajania się, czas powstawania więzi licznych i mocnych. W pierwszych tygodniach kompleks budynków, cały zespół różnych zakładów, liczne grono uczących, masy młodzieży — wszystko to robiło wrażenie czegoś ogromnego, jakiejś machiny potężnej, sprawnie funkcjonującej, i doskonale wywiązującej się ze swego zadania bez nas. Czuliśmy się wobec Liceum mali a niekiedy zbyteczni.

Wspomnienie o pojawieniu się pierwszego zabarwienia uczuciowego w stosunku do tradycji licealnej łączy się nieodparcie z pięknemi, niekiedy wzniosłemi chwilami, spędzonemi razem na wycieczkach, czy to w malowniczych okolicach t. zw. Szwajcarji Krzemienieckiej — czy na szlakach bohaterskich legjonów w Kostiuchnówce.

Pamiętam dobrze dzień, który dał mi odczuć i uświadomić sobie wewnętrzną spójnię z wszystkiem, co dotyczy Liceum. Był to dzień ponury — pełen kurzu śniegowego —

przez nie również dostają się podmuchy wiatru. Musimy je łapać Analizować i rozumieć. A do tego nie pomogą nam bynajmniej. Nasielscy i Marczyńscy, babrzący się z dzikim sadyzmem w brudach. A przecież naszym ideałem powinien być nie pierwotny homo animal wodzony na pasku przez zwierzęce popędy, lecz homo sapiens, wyposażony w bezcenną broń, jaką jest wiedza ludzka. Broń podniesiona w obronie życiowego postępu i sprawiedliwości społecznej.

J. L. kl. VIII.

RAMKI.

Artykuł kol. J. D. jest może zbyt jednostronnie ujęty, ale napewno wtłoczony jest w te „ramki", o które autorowi właśnie chodziło. Autor, jak sądzić możemy z artykułu, sam jest wepchnięty—psychicznie—w te „ramki", bo widzi tylko jedno zagadnienie (mało zresztą ważne), a raczej jedną przyczynę zła obecnego: „ramki". Stawia autor całe, tak palące teraz, zagadnienie wychowania teraźniejszego na płaszczyznie swobody—swobody czasu powiedzmy, bo swobodę myśli i słowa (naturalnie: „prywatnie") —mamy; patrzy na nie pod kątem, a właściwie przez ograniczoną wielce przestrzeń: „ramek",—ramek nakładanych przez rodziców, wychowawców—szkołę wreszcie. Widać, że „ramki" te zbyt silnie ścisnęły autora, bo wyjść z poza nich nie może. Kwestię wychowania teraźniejszego poruszałem w Nr. 1, w art. „Z rozmyślań". Nie chcę się powtarzać, ale przecież to zagadnienie ujmować trzeba ogólnie, w najszerszym widnokręgu spraw. Wychowanie nasze ma pójść nie tylko w kierunku dania nam swobody czasu —co jest zresztą rzeczą względna i nie najpilniejszą,—ale ma pójść w kierunku dania nam możności wypowiedzenia się w kwestiach życiowych, w kierunku ich zrozumienia i rozwiązania, w kierunku przygotowania do życia społecznego i politycznego—poprzez dawanie młodzieży jak największych dawek kultury dobra. Chciałbym zadać pytanie: co mają przepisy i regulaminy oraz „przykazania" domowe (cudzysłów mój),—„każdy kwadrans życia... wyznaczony przepisami" (słowa autora),—do: „życia wrzącego poza murami", do „swojej... Doliny bez wyjścia..", że zacytuję autora. Może autor chciał z tych ramek artykułu wyjść na szersze wody —wody i oceany wzburzone wychowania—nie wiem. Wiem jednak, że się tu coś nie wiąże. Jeszcze jedna cytata: „Trzebaby sobie tutaj powiedzieć, że życie nas przygniata, zasypuje swoimi

dzień odprowadzenia prochów poległych na szczyt jednej z gór. Wspinanie się młodzieży coraz wyżej po zboczach naprzeciw zamieci nabierało jakiegoś symbolicznego znaczenia pochodu młodzieży zespolonej jedną ideą.

Przeżycia tej wichury złączyły nas i wyryły w duszach znamię jedności.

I wtedy Liceum nabrało w naszych pojęciach barw świetlanych i zrozumieliśmy, że jest ono nietylko kompleksem murów i zakładów — ale duchem twórczym, tradycją wzniosłą — atmosferą braterstwa — ogniskiem wreszcie skupiającem wokół siebie.

Piękne hasła, zasady przyoblekają się tu w szaty rzeczywistości, która wyklucza wszelki górnolotny frazes, a świadczy o konieczności czynu.

Jednym z chwalebnych i pociągających czynów młodzieży licealnej są wyjazdy z opracowanym z wielką pomysłowością i samodzielnością programem uroczystości do odległych nieraz miejscowości.

Słuchacze Pedagogjum, jako mało obeznani z tutejszemi warunkami i możliwościami, podzielili się na gromadki, poprzydzielane do różnych klas w roli obserwatorów i pomocników. Jedna z tych grup wyruszyła z klasą 3-cią A do Smygi i tam poznała kolegów licealnych ze Szkoły Rzemieślniczo-Przemysłowej. I odtąd trudno teraz powiedzieć, jak się to stało, staliśmy się sobie bliscy. Spotkaliśmy się i zbliżyli na płaszczyźnie łączności wszystkiej młodzieży licealnej — poznaliśmy w nich zdrowy element przyszłych pracowników, ich prostoduszność i naturalność.

Bez cienia sztuczności, bez jakiejkolwiek chęci pozowania wyrażać zaczęli szczerze swe myśli, żywe zainteresowania i porywający entuzjazm do czynu. Dalecy od gołosłownej frazeologji wysuwają konkretne projekty społecznej pracy na wsi, a więc zorganizowanie bibljotek ruchomych czy zakupienie ruchomego kina i radja.

Nawał nasuwających się im pytań, zainteresowań, ciekawość wobec różnych zagadnień aktualnych, potrzeba czytania książek, stały kontakt z młodzieżą innych zakładów Liceum utrzymywany przez „Widnokrąg“ mówi o bogactwie ich struktury duchowej. Współżycie nasze ma polegać na wzajemnem wyświadczaniu sobie usług.

I tak np. my pomagamy im w zdobywaniu książek do

drobiazgami i żąda jednocześnie oddania się zupełnego sprawom zasadniczym, ogólnym, a palącym i koniecznym".—I potem: „logicznie rozumując, należałoby stwierdzić, że sytuacja jest bez wyjścia, konflikt zasadniczy." Tak; „konflikt zasadniczy", ale w toku rozwiązań autora. Winniśmy rzeczywiście wyjść z poza „ramki" psychicznego nastawienia na sprawy najmniejszego znaczenia ale okrzyczane,— a zwrócić uwagę na rzeczy naprawdę ważne. Bo nie to jest ważne, wiele mamy czasu (a raczej odgrywa to rolę drugorzędną, uboczną), ale ważne jest; co my robimy. O tym należy mówić. Tak teraz zazwyczaj jest, że omawia się, krzyczy i bije o rzeczy drugorzędne a najbardziej groźne i zasadnicze „konflikty" ukryte są w głębi, a osłonione hałasem o rzeczy małe. Kwestia mniejszych, lub większych „ramek" (bo,—że muszą być—to sam autor przyzna), nie jest, aż tak nagłą i palącą — by ją na pierwszym miejscu stawiać, by nad nią przedewszystkiem dyskutować. Nie wiem, czy kol. J. D. wie—jak się rzeczywiście teraz żyje. Nie chodzi mi o „ramki", lecz o treść istotną życia. Młodzież, a specjalnie starsza, która opuścić ma szkołę—jest terenem najrozmaitszych wypadów i—„napadów" managerów tych właśnie „wirów życiowych" z „Doliny bez wyjścia". I ta młodzież musi znaleźć teraz rozstrzygnięcie wielu kwestii, musi dokonać wyboru swej drogi życiowej; ta młodzież formuje teraz swój światopogląd —w każdym bądź razie na okres kilkoletni, a okres najważniejszy i najpiękniejszy w życiu.

A jak to się odbywa?—o tem chyba autor też wie. Z jednej strony jest przeważająca większość „złotej młodzieży" w tym sensie, jak ją określił kol. w № 1, w art. „Szkoła a życie", ale gorsza jeszcze—bo nie tylko bezmyślna—a niechcąca myśleć. Z drugiej strony jest garstka zapalona do zmierzenia myślą tych nowych dziedzin życia, ale nie wiedząca, jaką pójść drogą, bo: nie rozumiejąca tych zjawisk, albo chcąca rady—której nie ma, albo nie mająca w sobie wewnętrznej wartości,—któraby drogę dobrą wskazała. I to jest najgorsze. Najgorsze: że oni nie są do tego przygotowani, przygotowanie w sensie zdobytych wartości, zdobytej kultury dobra. Bo to jest najważniejsze. Bo na wartości dobra—opiera się Czyn! I to winno być punktem wyjścia do wszelkiego rodzaju kwestii, to winno być celem walki o dobre wychowanie młodzieży, trzeba: nie—walczyć z „ramkami", ale walczyć o sposób życia młodzieży, o zainteresowania, o to by młodzież jak najwięcej tu— w szkole średniej—wchłonęła w siebie pierwiastków dobra, bo one będą potem podstawą do wyb-

czytania, oni zaś pracowicie zebrali i opracowali, na naszą prośbę, materjał do medycyny ludowej Wołynia.

Więzy, spodziewam się, wzajemnej sympatji zacieśniają się, wlewając w nas jakąś radość wspólną, wypływającą nie z poczucia wywiązania się z powinności współżycia — ale wprost z zaspokojenia potrzeb wewnętrznych pozyskania sobie przyjaciół. I nie nazwiemy naszego zbliżenia się do szkoły smyskiej szumnym frazesem pracy społecznej—jedynym najlepszym określeniem tego stosunku będzie—koleżeństwo. Gotowość do wzajemnego wspomagania się, czynna postawa wobec faktów, dotyczących którejkolwiek strony mają nadawać tło naszemu współżyciu.

A rękojmią i jakoby kryterjum naszych poczynań winno być poczucie zadowolenia, jakiegośmy doznali, żegnając się, czyto wracając z wycieczki smyskiej, czy z prób jasełkowych, czy wreszcie z samych jasełek, odgrywanych ze współudziałem słuchaczek — zadowolenia nietyle z rzeczy dokonanych, ile z możliwości kontynuowania i poszerzenia stosunków koleżeńskich.

A. kurs I. Pedagogjum.

NARCIARZ.

Nartami kraję płaszczyznę
Lśniącą i białą, jak chusta.
Życie krwią tętni mi w skroniach,
Z wiatrem całuję się w usta.

Niepowstrzymanie... przed siebie...
Rozkosz ma cała jest w biegu:
Już jestem tylko punktem,
— Dwoma linjami na śniegu.

Br. Liżewski kurs V.

---

* *
*

Pan A., urzędnik skarbowy miasteczka x. otworzył okno swego gabinetu. Zionęło niby — wiosną. Szeleściły kwitarjusze podatku dochodowego; jeden kwit spadł na ziemię. Pan B. pomocnik pana A. zerwał się ze swego fotela i podniósł go. Wyprostowując się przeciągle ziewnął. A niby — wiosna.

rania drogi życiowej—i do dobrego Czynu!

Trzeba raz wyjść z poza „ramek“ codzienności i szczegolików, z p o z a „r a m e k“ — f o r m y, a trzeba całą uwagę i wysiłek woli skupić na jednym: n a t r e ś c i ż y c i a m ł o d z i e ż y! Przyznam się, że żadnych „koncepcji zaradczych“ nie mam,—może należałoby większy kłaść nacisk na zamiłowania i zainteresowania do sztuk pięknych,—może należałoby dać młodzieży możność wypowiedzenia się na tematy, które ją nurtują,—może...—Tych „może“—byłoby wiele, i o nich trzeba mówić.

R. Stachórski kl. VII.

PRZY KOMINKU...

Styczniowy wieczór. Zawierucha. Wyjący, zimny wiatr unosi z sobą całe tumany śniegu, ciska je w powietrze, miota na ziemię, roznosi, rozrzuca wszędzie, ubiela nim domy, chaty, drzewa, płoty, wyrównuje drogi.

W zapadającym szybko mroku oczy przemykającego się przechodnia rozróżniają przed sobą tylko zmętniałą, lekko szarzejącą białość. Zawieja wzmaga się wciąż, wiatr z siłą uderza w zamarznięte szyby, dzwoniące za każdym uderzeniem głośno i jakby z lękiem...

Ale wyjący za oknami wicher nie ma dostępu do pokoju. Panuje tu zmierzch szary. Pod osłoną mroku z kątów wychodzą cienie i mary, ślizgają się cicho po ścianach, senne i ponure, wywołując przeszłość, dawno zapomnianą. Na ścianach wiszą stare, zardzewiałe szablice, miecze z klingami wykszywionymi, srebrne pistolety. Przy stojącym w rogu pokoju, staropolskim, białym kominku, w którym ogień trzaska wesoło, bucha jasnym płomieniem i wznosi się w górę, jest ciepło, zacisznie i miło. W fotelu staroświeckim, miękko wybitym siedzi czarno ubrana postać. Siwiuteńka, jak gołąb, babunia, twarz ukryła w dłoniach. Obok, na niskich stołeczkach siedzą dwaj mali chłopcy z szabelkami w ręku, z oczami wlepionymi w twarz babuni. Ogień w kominku huczy, czerwonym blaskiem oświeca rozwieszone na ścianach obrazy i portrety, ożywia cienie, snujące się po pokoju, tchnie w nie życie, ucieleśnia je.

Naraz ciszę głęboką, niczym niezmąconą, przerwał głos jakiś. To ręką dziecka nakręcony, ozwał się stary, kurantowy zegar, stojący w kącie, i zagrał skoczny mazurek Dąbrowskiego.

pchała się do wnętrza gabinetu...

Pan A. oparł się o parapet okna i patrzał na ulicę. Tam jak zwykle kręcili się ludzie. Trotuarem ciągnęły wozy: puste, z babą w półkoszku, świńmi kwiczącemi lub niekwiczącemi, z mąką; zresztą różne. Na samych chodnikach, pomiędzy szarym tłumem, od czasu do czasu: granatowa plama. To policjant z teczką pod pachą, baczny na wszystko.

To było rano...

... a o godz. 3-ej po południu, pan A. wyszedł z urzędu. Czekała na niego żona w domu.

Stała, ze skrzyżowanemi rękami na piersiach, przed oknem,— zamyślona. O czem myślała? Ach, było dużo do myślenia. Ot, to np. z brzegu: „Czy to, co powiedziała pani C o pani D, prezesce ZPOK'u jest słuszne?" Kwestja niezmiernie ważna. Pozatem wiele innych.

Otóż czekała na męża. Niedługo przyjdzie, wyjmie „kurjerek" i rzuci lekko na kanapę, zdejmie futro, ręką pogładzi skąpą fryzurę, a pocałuje ją w rękę i powie: „Zjadłbym coś. Głodny jestem". Wtedy ona przynosi zupę, rozlewa ją z wazy, a w międzyczasie on opowiada historyjki z kancelarji.

Tak i dziś było..

ale w trakcie obiadu pan A. zaczął nagle mówić na niespodziany temat.

Jak myślisz—zaczął—czy nie należałoby kupić Ludkowi nart? Wprawdzie na zimę nie zapowiada się. Jest ciepło, błoto, ale... kto wie? Dopiero styczeń. Najcięższa zima zwykle w lutym. Ludek był to ich syn. Uczeń III gimnazjalnej.

Zaskoczona pani A. mieszała łyżką zupę, intensywnie przytem myśląc.

Po chwili rzekła: „No tak, ale do tego należałoby i kostjum kupić. Niech mundurka nie niszczy. Cała ta historja będzie kosztowała conajmniej 70 zł." Uwaga była słuszna. Pan A. o tem nie myślał.

Pani A., jako główny buchalter ciągnęła dalej.

„Pensję ci obcinają. Ludek nie może zaoszczędzić na swoich wydatkach, bo się ogranicza. A z tej sumy, którą składamy na plac, nie chciałabym nic brać"

Nastało milczenie. Ciężko było zdecydować. Po drugim jednak daniu, w przerwie między nim a herbatą— zdecydowano.

Za pięć dni Ludek posmarował już nowe narty. Wskazówki przysyłał mu pan B. który od tej pory pilnie wysłuchi-

Ożywiło się nagle wszystko, zbudziło się jakby z uśpienia. Nawet obrazy, wiszące na ścianach, ożywiły się. Zdawało się, że zagrały armaty, że błysnęły kosy w rękach kosynierów, że wódz w białej sukmanie ruszył do boju. Zagrzmiała salwa karabinowa, równa linia ostrych bagnetów wyprężyła się, zaświeciła, żołdacy moskiewscy wrzasnęli, Polacy ruszyli do ataku, a w chwilę po tem, ryczące dotąd rosyjskie działa umilkły, zagwożdżone, a pod niebo wzbił się zwycięski, triumfalny okrzyk kosynierów. Zdało się, że postacie martwe, malowane zstąpią z obrazów, że naraz polscy szwoleżerowie ruszą walczyć w zdradliwe zagłębienia wąwozu Somo-Sierry...

Babuniu, opowiedz nam, jak to było w powstaniu! — prosili chłopcy.

I staruszka poczęła opowiadać, jak to jej brat poszedł do powstania—i nie wrócił. .

—Młodym jeszcze będąc chłopcem—mówiła - „uciekł pewnego razu z domu. Nadaremnie szukano go wszędzie—przepadł jak kamień w wodzie, zabrawszy z sobą tylko starą strzelbę ojca, Bułanka i parobka Jaśka, z jego szkapiną. Martwiliśmy się o niego ogromnie, żadne bowiem wieści do nas nie dochodziły, więc nie wiedzieliśmy, czy zdrów, czy żyje i gdzie się obraca.

Pamiętam, był raz taki sam wieczór, jak dzisiaj. Przy okrągłym stole siedziałyśmy z Anią, Krysią i Martą, moimi siostrami, i skubałyśmy szarpie. Naraz furtka ogrodowa dziwnie jakoś zaskrzypiała, jakby nią ktoś targnął... Nie zwróciłyśmy na to uwagi, aż dopiero, gdy zaskrzypiało coś koło drzwi, zerwałyśmy się, przestraszone i podbiegły,..—tu staruszka urwała.—Otworzyłyśmy drzwi – ciągnęła po chwili dalej—i... cofnęłyśmy się, przerażone... Przed nami stało jakieś widmo, do szkieletu raczej, niż do żywego człowieka podobne... Przybysz w którym poznałyśmy młodego powstańca, okryty był łachmanami, nogi owinięte miał porwanymi, postrzępionymi szmatami. Ledwo próg przestąpił zachwiał się i byłby upadł, gdybyśmy go nie podtrzymały. Podsunęłam mu krzesło, a widząc. jaki jest słaby, podałam mu kieliszek mocnego wina. Gdy już trochę odpoczął i nabrał sił, tak że mógł mówić, podbiegłam doń, mając jakieś tajemne przeczucie, że on coś wie o naszym Zbyszku. Zaczęłam go zaklinać na wszystko, by nic przede mną nie taił i wyznał prawdę. Za całą odpowiedź wyjął z za podartych łachmanów, ukryty na piersiach, strzępek amarantowo-biały, cały podziurawiony kulami i krwią zbroczony...

—Tu babunia urwała znowu, wzięła jeden ze starych, zardze-

wał sportowych komunikatów. Ponieważ znał jako tako język francuski, słuchał więc francuskich komunikatów sportowych. Aż raz: „Powódź w górnej Francji uniemożliwia regularną komunikację“.

Pan A. zamknął radjo...

E. był poetą. Jako zajęcie poboczne uprawiał: naukę. Akurat przydarzyło mu się być drugi rok w klasie VI., kiedy poczuł naprawdę powołanie poetyckie.

Wprawdzie krawat o zabarwieniu czerwonem nosił jeszcze przedtem, to samo odnosi się do fryzury à la Wierzyński, jak również do dekadenckich stanów duszy po wypaleniu papierosa przez dwa dni, ale pisać wiersze zaczął dopiero w tym właśnie wspomnianym okresie.

Zaczął od noweli, która mu się nie udała, przerzucił się na krytyczne rozprawki nigdy nie drukowane, oraz przez poetycką prozę doszedł do wierszy. Tu uzyskał szalone sukcesy. Trzy razy umieszczono w „odpowiedziach Redakcji“ pisemka szkolnego p. t. „Kowadło“ pochlebne recenzje jego utworów, tłumacząc nieumieszczenie ich brakiem miejsca. Gnębiło to naszego poetę trochę, ale recenzja pocieszała.

I otóż pewnego dnia nad E, czy w nim, rozbiła się „bania poezji“. A działo się to mniej więcej w tym czasie, kiedy pan A. zwierzał się ze swego projektu pani A. Wiadomo, były wtedy zadatki na wiosnę.

I bynajmniej E. nie był winien temu, iż odłamek „rozbitej bani“ wpadł w środek tematu: narciarstwo. Powstał w ten sposób szczytowy utwór naszego bohatera: „Narciarz“. Napisany był jednym tchem. Co uskuteczniwszy, tego samego wieczora, pobiegł do redaktora „Kowadła“.

Był to chłop rosły, o zarośniętej piersi, którą było mu widać z pod rozchłestanej koszuli, wtedy, kiedy E. rozpromieniony jeszcze natchnieniem wpadł do jego mieszkania.

Jadł chleb razowy i kiełbasę świeżą. Robił to z widocznem namaszczeniem, żując powoli i dokładnie chleb oraz obgryzając skórkę kiełbasy, którą rzucał pod piec. Od czasu do czasu chlupnął nogami w wodzie, znajdującej się w miednicy pod stołem.

Wysłuchawszy więc tyrady słów poety oraz wiersza, kazał go włożyć autorowi do swej teki.. Zawisła ciężka cisza,

wiałych kluczy, otworzyła ukrytą w ścianie obok staroświeckiej komody tajemną skrytkę. Sięgnęła do niej ręką i ukazała oczom zdumionych wnucząt kawałek spłowiałego biało-czerwonego jedwabiu,—„Patrzcie“ciągnęła głosem wzruszonym—„to jest to, co po Zbyszku zostało“... Powstaniec z narażeniem życia przedarł się do nas, by przynieść to, co mu się udało jedynie ocalić—sztandar, największą świętość żołnierza. Gdy go spytałam o brata, odparł: „Zginął na stanowisku, jak żołnierzowi przystało“ i wraz z ocalonym sztandarem podał mi złamaną i pogiętą szablę brata.

W dwa dni później, gdy przywieziono do domu jego ciało, pod poszarpanym mundurem widniała na piersiach, jak najpiękniejszy order, krwawa rana, zą Ojczyznę poniesiona...

Wyczerpana długim odpowiadaniem, staruszka umilkła. Z nią umilkło wszystko. Tylko za oknami, wichura szalała, tylko ogień na kominku trzaskał, tylko zegar tykał swe nieustanne: tik, tak-tik, tak...

Wnuczęta siedziały zasłuchane i zadumane.

Milczenie przerwała dopiero po dłuższej chwili babunia:

—Ale te wysiłki polskich powstańców nie zmarniały, ich krew męczeńska nie przepadła. Jako gwiazda przewodnia świeciła ona nowym pokoleniom, prowadząc je do celu.

A legjoniści Marszałka Piłsudskiego, to potomkowie tych właśnie, nieznanych, bezimiennych bohaterów.

Im to macie do zawdzięczenia, że żyjecie w wolnej i niepodległej Polsce.

Pamiętajcie o nich zawsze i zawsze czcijcie ich pamięć i ich wielkie serca. Gdy dorośniecie, starajcie się być dobrymi synami swej Matki-Ojczyzny, by miała z was pożytek, i zawsze bierzcie przykład z tych, którzy jedynie Jej dobro mieli na względzie!..

Stef. Ch. kl. Ia.

MARSZ ŻAŁOBNY CHOPINA.

Wszystko umikło, na sali zapanowała cisza. Za oknami padat ogromnymi płatami biały miękki śnieg, co chwilę słychać było srebrny głos dzwonków od sanek.

Białe‘ długie palce pianisty uderzyły miękko klawisze. Odezwało się kilka cichych akordów i popłynęła melodia. Dźwięki wyczarowane z biało-czarnych klawiszów przez wielkiego artystę—marsz żałobny Chopina. W powietrzu, nad naszymi głowami unosiła się melodia smutna, pełna żalu, melodia przypominająca łkanie. Przed mymi oczyma przesunęły się ponure obrazy: trum-

przerywana mlaskaniem. Przy ostatnim kęsie, E. zapytał trochę drżącym głosem o ocenę.

„No, cóż?!— począł cedzić Redaktor— niezły, ale nie umieścimy w tym numerze. Nieaktualny".

E. wstał i wyszedł. Rano wybierając się do szkoły długo szukał zapomnianej czapki... Nie mógł przecież iść z gołą głową, bo byłoby to wbrew regulaminowi szkolnemu... zresztą grubemi płatami padał śnieg. Wiersz był uratowany.

J. Siemaszko kurs V.

DZIAŁ MŁODYCH

ZIMA.

Sypie śnieżek, sypie, po drodze się ściele
Już zasypał ziemię, płaszczem swym perłowym,
i ukołysał ją do snu zimowego.
Dzieci z domu wybiegły cieplutko ubrane,
bawią się śniegiem, radują się zimą,
aż przez pola ośnieżone, aż pod niebo zachmurzone
głosy ich radosne płyną.
Ale Mróz je goni, nie daje uciechy
szczypie je za noski, zapędza pod strzechy
Księżyc wszedł na niebo gwiaździste,
a Mróz mistrzowską ręką artysty
na szybach okien mej chaty
rozpina swe zimowe kwiaty.
Wszystko usnęło, tylko wiatr huczy w kominach,
a śnieg sypie i sypie....

Mikołaj Bobyk kl II b

„DOBRE KSIĄŻKI"

Był piękny wieczór, wprawdzie nie majowy, a styczniowy lecz ostatecznie to niewielka różnica. Brakowało mu przecież jedynie cokolwiek ciepła, odurzającego zapachu rozkwitających jabłoni, pieśni słowika i tej dziwnej nieuchwytnej tęsknoty za nieznanem, która chwyta za serce w pogodne wieczory majowe. W taki to czas wyszedłem z domu (uważam, że jeno stalowa wola może przykuć porządnego ucznia do książek w takie wieczory) i skierowałem się do mego kolegi. Za chwilę przywarłem do oszklonych drzwi i zamieniłem się dosłownie w słup soli. Mój kolega, ten nieco sentymentalny i uczuciowy,

na, grób, spowite w kir postacie...

Nagle, całkiem niespodziewanie, powietrze przeszyło kilka ostrych akordów. Palce pianisty uderzały o klawisze ciężko, bru-alnie. Sala rozbrzmiała melodią przepojoną głuchą rozpaczą, me-odią przypominającą burzę. W tej chwili uprzytomniłam sobie, że taki straszliwy ból musi napełniać duszę ludzi, którzy walczą o życie człowieka ukochanego.

Powoli ostre metaliczne dźwięki wsiąkały w mury i gdzieś ginęły, a po chwili znowu odezwała się melodia cicha, tęskna i łagodna.

Spojrzałam na koleżanki i kolegów; prawie wszystkie twarze wyrażały skupienie i tylko niektórzy ziewali, mieli twarze znudzone i cicho rozmawiali. Większość jednak moich rówieśników rozumiała i odwczuwała piękno muzyki, a może nawet kochała.

Znowu spojrzałam na fortepian i siedzącego przed nim człowieka,—wyglądali jak całość. Teraz wydawało mi się, że fortepian posiada duszę, że jest żywą istotą, wydawało mi się, że człowiek i instrument rozumieją się nawzajem.

Jeszcze przeleciało kilka ostatnich urzwanych akordów. Minuta ciszy i sala rozbrzmiała oklaskami. Całe piękno, cały czar nastrojowej i pełnej uczucia melodii, prysł i rozwiał się...

A. kl Ia

MACIEJ NIE DOCZEKAŁ.

Słońce stoczyło się za las, widniejący na horyzoncie, nad którym rozstaczał się biały pas mgły. Wiatr porywał ją i targał, rwał na strzępy, gnał gdzieś w dal... Ściemniło się na dobre, gdy nadciągnęły czarne chmury i przesłoniły niebo. Zerwał się wiatr silniejszy i gnał przez puste pola, poświstując i zatrzymując się niekiedy w zagrodach. znacznych światłami, lub w lasach.

Stary Maciej wstał z kupki słomy i zwróciwszy się do kobiet, które z motykami w rękach pracowały nad kopaniem kartofli—zawołał:

—Hej, przerwać tam robotę, ciemno już!

—To i krowy czas już zaganiać—rzekł piskliwym głosem Antek, ciągnąc dziadka za rękaw.

—Czas, czas już, tylko mi je napój!

Antek odszedł. Maciej spojrzał na dopalające się ognisko.

Tu krzyknął jeszcze za Antkiem:

—A zagaś mi ognisko, bo pożar może być.

łagodny chłopak skradał się (o zgrozo!) z tępym nożem kuchennym w ręku, stroił mordercze miny i łypał krwiożerczo oczyma... Następny rzut oka wyjaśnił mi wszystko... Na stole leżała w bajecznie kolorowej okładce „Szajka grozy".

I teraz się zastanawiam dlaczego tak jest: „dlaczego większość moich kolegów rzuca się poprostu na kryminalne powieścidła, wzgardliwem milczeniem pomijając książki Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego, Rodziewiczówny lub Londona, którego powieści tchną cudownemi przygodami na tle surowej a pięknej przyrody dalekiej północy, lub skwarnego południa. Są rozmaite gusta, to zgoda! Ale tak masowo przenosić nad przepiękne książki niektórych powieściopisarzy opisy genjalnych złodziei, arcygenjalnych detektywów, wyrafinowanych morderstw i brudnych afer, to już doprawdy trudno zrozumieć. Spojrzyjcie więc nieco krytycznie na te książki. Czy istotnie są one aż tak ciekawe i porywające?

J. Rajch kl. I a

Z ŻYCIA LICEUM.

Dnia 22.I w sali teatralnej odbyła się akademja z okazji uczczenia rocznicy powstania styczniowego.

Wykonaniem zajęła się klasa III b.

Wieczór wypełniony został trzema obrazkami scenicznemi: 1) Społeczeństwo, 2) Wojsko, 3) Przywódcy,

Zarówno pomysł jak i wykonanie były dobre. Akademja była daleka od utartych, nudnych szablonów z przemowami i patetycznemi deklamacjami. Klasa III b z zadania swego wywiązała się.

b. l.

Dnia 29 grudnia 1935 roku zmarł w Zakopanem

WŁODZIMIERZ DANILCZUK

Wychowanek Liceum Krzemienieckiego,
student Uniwersytetu J. Piłsudskiego

Tracimy w Nim twórczego, pełnego serca, entuzjazmu kolegę, przodującego pracą, postawą ideową, stwarzającego wokół siebie atmosferę zbiorowego wysiłku i odpowiedzialności.

ZRZESZENIE BYŁYCH WYCHOWANKÓW
LICEUM KRZEMIENIECKIEGO

Tłoczono w Drukarni W. Ćwika w Krzemieńcu.

Chłopiec stanął i wpatrzył się w ogień. Tak ładnie leciały iskry, niesione przez wiatr. Wprawdzie niesione w stronę budynków.

—Ale to daleko—myślał Antek i popędził krowę do domu.

Tymczasem Maciej siadł na wóz i rozmyślał. A były to radosne myśli tego starego, pochylonego przez wiek człowieka. Wszak to jutro przyjeżdża jego syn, który od piętnastu lat pracował w Ameryce. I oto jutro ma go zobaczyć. Jest on teraz gdzieś w drodze. Czuje, że z każdą chwilą syn jego coraz bliżej. Na tę myśl serce starca skowycze z radości, mleczna głowa opada na piersi, z oczu płyną łzy. Zobaczy go jutro zdrowego i tak drogiego. Będzie może to najprzyjemniejsza chwila w jego życiu.

Wreszcie dojechano do domu. Po załatwieniu wszystkich spraw gospodarskich zasiedli domownicy do wieczerzy. Maciej jadł i rozmyślał o jutrze. Wyrwał go z tej zadumy okrzyk Antka:

— Jezus Maria, cóż to tak widno!

I wybiegł na podwórze. Maciej również chciał wyjść, lecz do chaty wleciał Antek i wrzasnął:

— Chałupa gore!

I ukrywszy twarz w dłoniach jęczał:

— To moja wina.

Istotnie była to jego wina. Nie zagasiwszy ogniska, zostawił je. Iskry niesione przez wiatr trafiły na słomiany dach Maciejowej chałupy.

Wybiegli wszyscy na podwórze i jęli ratować. Maciej wynosił ca kosztowniejsze rzeczy z domu, zaś domownicy, sąsiedzi i strażacy gasili ogień. Nagle dziadek przypomniał sobie i rzucił się do środka chaty. Tam został Antek, straciwszy zupełnio głowę. Przytulił się w kącie i siedział nic nie wiedząc. Paliło się już wszędzie. Od gorąca i dymu chłopiec zemdlał. Wszedł tam Maciej i począł szukać swego wnuka. Belki przepalone trzeszczały. Rozległ się huk i starzec upadł przygniecony jedną z nich. W oknie ukazał się strażak z Antkiem na rękach. Chłopak był ocalony. Maciejowi spadła trwoga z serca.

—Antek żyje—wyszeptał i w tej chwili objęły go płomienie. Maciej nie doczekał.

M. K. kl. Ia gimn.

Następne rozprawki o „Sensie wyjazdów listopadowych“ wydrukujemv w numerze styczniowym.

Tłoczono w drukarni W. Cwika w Krzemieńcu.

